



**Mieczysław Patoczka**

**CUD AMERYKA,  
CUD!**

**Mieczysław Patoczka**

**CUD AMERYKA,  
CUD!**



## Nowy Świat – odwiedziny

Gdy tylko samolot wzbił się ponad chmury,  
słoneczny potok zalał światłem z góry  
siedzące postacie, co w długim szeregu  
leciały szukać szczęścia, tam na drugim brzegu.

Patrząc tak na nich, w dali już widziałem  
dziecinne rączki z niemym zapytaniem:  
„Masz moje wędki? Czy nie zapomniałeś?”.

Jak przed miesiącem głosik w słuchawce z daleka  
dopytywał twardo, sięgając pamięcią  
w Cuzony łowy, nad miednicą rzeką:  
„A drugi koniec gdzie?” – potem – „Nie ma sznurka!”.

W babci rączki nie chciał dać owoców!  
Czy jeszcze pozna ta mała drobina  
Babcię Danielę i swego Dziadziusia,  
co zostali daleko, hen na Starej Ziemi?

Tu stewardessa podaje frykasy,  
a w dole zmarszczki na wodzie bez granic.  
Z tej wysokości od czasu do czasu  
maleńkie czółna prują morskie fale.

Ten wzrok sokoli – nie ujdzie uwagi  
ni mała wyspa, ani port w oddali.  
A teraz instrukcja: „Jak nad oceanem  
ładować w wodzie, w razie konieczności,

Gdzie kamizelka, gdzie luk zapasowy...”  
Lecz wzrok bez przerwy błąka po przestworzy  
ciekaw nieziemskich z wysoka widoków.

Aż nagle w dali, horyzontów brzegi,  
ostre grzebienie bielą wyścielone:  
to już Grenlandia i Wikingów cele.

Płyną pod skrzydłem skaliste wybrzeża,  
to lodem skute, to przestrzenne śniegi,  
nim oko nasyci się nietkniętą ziemią,  
z tej odległości bezludną i czystą,

już stewardessa każe pasy spinać,  
by „Nową Ziemię” kanadyjską witać.  
A w dole pasy widać już startowe,  
zarysy drogi i lasów zielenie.

Tam już Kanada pachnąca żywicą,  
Nowego Świata ogromne przestrzenie.  
A za szybami znajoma gromadka  
radośnie macha małymi rączkami!

Ciągną się długo, prawie w nieskończoność,  
te formalności, paczki, transportery,  
by wreszcie objąć uściskiem te cztery  
osoby najdroższe na calutkiej ziemi.

Gdy już ucichły radości powitań,  
wszystko jak we śnie samo się układa,  
znika problemów zmora niesłychana,  
bo wkoło działa gromadka kochana.

Rączki się po wędki same wyciągają  
i już nie puszcza nawet przez sen,  
w auta się ładują bagaże, kłamoty  
i wnet z wizytą do krewnych ruszamy.

Jest i szampana głośny huk wystrzału  
i błyski fleszów odbite na twarzach.  
Wszyscy tam razem z wrażeń upojeni  
wspólnie zasypiamy pokotem na ziemi.

Rano już dalej, wstęgą betonową  
samochód nowe przestrzenie pochłania:  
żegna Montreal nad Wawrzyńca Rzeką,  
wita Toronto, jezioro Ontario.

Ciągle się kręci grunt pod nogami,  
lecz tu nareszcie postój, szkoda że nie długi.  
Wchłaniamy wszystkie nowości tej ziemi,  
zwiedzamy główne metropolii centra.

A wszędzie w tłumie pędzących kamieni,  
po autostradach, tętnicach tego miasta.  
W kilka dni później z miastem oswojoni  
do tempa życia, normy tego kraju,

ruszamy dalej, już tylko we troje,  
do Nashville w Stanach, studenckiego miasta.  
Tu jeszcze większe kontrasty przed nami:  
Gałęzie życia, gęste autostrady,

Gordyjskie węzły, kręte ślimacznice,  
dochodzą wszędzie, łącząc nieprzerwanie  
wśród drzew zieleni, od pracy po spanie.

*Kraków, grudzień 1984*

## **Marysia**

Marysia we Florham Park,  
jak Ania z Zielonego Wzgórza,  
chowa się po krzakach  
i znowu się wynurza.

Uśmiecha się bez przerwy,  
to przechyla głowę chytrze,  
to chowa się za Babcią,  
do Taty znów się mizdrzy.

To znowu z piłką szaleje  
lub wodą się polewa,  
to sama w brodzik wchodzi,  
gdy słońce zbyt dogrzewa.

Pod krzakiem misiek biały  
czeka na swą kolejkę,  
trzeba go dobrze wymyć,  
by białe miał futerko!

A nocą pod te krzaczki  
schodzą się czasem sarenki,  
jest tu soczysta trawa  
i duże rosną sosenki!

*Florham Park, 1988*

## W długi weekend – Dzień Pani Wiesi

Od rana krzątanie,  
będzie wielkie sprzątanie,  
lampę trzeba przerobić,  
trochę ją przyozdobić,

a przy wejściu dokończyć  
musimy listewki.  
Dziś przyjadą znów goście,  
mówiąc o tym najprościej,  
pani Wiesia, Jej córka, lub zięć.

Trzeba skończyć rysunki,  
niech zobaczą jak cudnie  
projektuje mój mąż,  
jak ma chęć.

Sama muszę od rana  
zacząć od odkurzania,  
cała kuchnia lśni już cudnie,  
jak słońce w południe.

Bo uwielbiam ja gości,  
mówiąc o tym najprościej,  
od małego dziecka mój cel.

Jak się ma *fixe idée*,  
żyć jest zawsze weselej,  
można wszystkie swe smutki  
wypowiadać (bez wódki!),  
zaraz w duszy i sercu jest lżej.

Tego tak mi potrzeba,  
więcej niż na co dzień chleba,  
od którego jest waga i *spleen*.



Więc szoruję podłogę,  
okna, ściany, jak mogę,  
potem salon, *porch* i sień.

A przed domem też liście,  
zbieram je uroczyście,  
sąsiadce wątroba chce pęc.

Na gazonach kwiecistych  
pełno pędów liściastych,  
trzeba ostrzyć i skrócić ich pęd

niesforenego rozrostu  
i do kształtów ich prostych  
gazonów ich wpędzić.

Boże, ile roboty  
w takim domku co sobotę,  
gdy się ma mieszkać w nim chęć.

Chyba lepiej już w blokach,  
czynsz co miesiąc i po kłopotach,  
a tu z miotłą i ścierką  
wciąż pędź i pędź.

Ale wróćmy do sprawy,  
już nie czas na zabawy,  
kiedy gość ma się zjawić,  
co dać mu jeść?

A więc teraz do kuchni,  
spiżarka wciąż chudnie,  
rośnie za to zastawa  
wzdłuż i wszerz.

Na skraju zakąski,  
sos z jajek i pączki,  
sałatki z jarzyn, jakie chcesz!

Potem z rzepki surówka,  
a na humor też wódka,  
trzy koreczki z kaparkiem,  
gołąbki i śledź.

Jeśli to jest za mało,  
to w rezerwie został  
barszcz czerwony z uszkami i cześć!

Na poprawę legumina,  
(smutne sprawy przypomina!),  
ryż na mleku i gruszki w syropie,  
(na sam widok już w nerkach coś kopie).

Będzie tyle zabawy,  
kto wykończy te stawy,  
na sam widok człowiek chce pęc.

I to wszystko z panią Wiesią  
mam zjeść?

*Millburn, grudzień 1992*

## **Florham Park**

Florham Parku cieniste sosny,  
zagubiona sadyba w zieleni,  
skoszona równiutko trawa,  
szpalery krzewów brzegi.

Marysia za drzewem się skrywa,  
biały niedźwiedź pod krzakiem siedzi,  
basenik z szemrzącą cicho wodą  
i długi wąż wśród zieleni.

Na trawie zabawki rzucone,  
klocki i lalki w nieładzie.  
Po niebie smuga biała  
sunie, rysując ściegi.

Marysia za nią śledzi,  
spóźniony warkot dogania.

Z drzew zbiega wiewiórka,  
raz w lewo, raz w prawo zawraca,  
a z dali dźwięk – sygnaturka,  
dochodzi z małego kościółka.

Gdy zapach parny przygniata,  
doczesne sprawy znikają,  
czas sennie, wolno się toczy  
i tylko Marysi zachcianki  
wzywają Dziadzia pomocy.

*Florham Park, lato 1984*

## Pochwała dzikiego zachodu

Stany to jest to,  
czego nie przeskoczysz!  
Stany to jest to,  
co cię zauroczy!

Tam to chodzisz z bronią,  
swoboda bez granic.  
Tam to nie istnieje,  
co chcesz to dostaniesz!

Tam załatwisz wszystko,  
zaś u nas – nic za nic.  
Tam to już z daleka  
ręką Cię pozdrowią.

Że bezbronna widać  
i nisko się skłonią,  
ze szczerym uśmiechem:  
„Hello” głośno mówiąc

I pustą dłońią  
lekką potrząsając.  
Nikt Cię nie potrąci,  
nawet przepraszając!

A gdyby tak do nas  
dobrą broń sprowadzić?  
Każdy mógłby kupić!  
(Swoboda bez granic).

Wtedy demokracja  
społeczna się uda,  
wzrośnie wartość człowieka,  
a nie demoluda.

Poczucie godności  
wolnego człowieka,  
choć spodnie w łaty,  
jednak nie narzekasz!

Wtedy zaistniejesz  
środkiem drogi kroczysz,  
patrząc w lewo, w prawo,  
nikt Cię nie zaskoczy!  
Idę na zakupy! Cześć!

Przypuśćmy że w sklepie  
same puste półki,  
gdy tylko się zjawisz,

panie jak jaskółki  
zlatują od herbat  
i od telefonów,  
z uśmiechem pytają  
co kiedy i komu.

Lecz gdybyś natrafił  
na niechętny typ,  
puszczasz serię w kaszę,  
jak ten Billy Kid!

Wtedy sam kierownik  
migiem obsługuje,  
poda książkę zażaleń  
lub wódką częstuje.

A w urzędzie także  
załatwią Ci sprawę,  
nie „trza” załącznika,  
ani iść na kawę!

Fama się rozejdzie  
jak ta błyskawica,  
z dala już Cię widzą,  
domyślą się czego Ci trzeba!

Albo z drogi zejdą,  
sprzątną puste szklanki  
i pełna kultura,  
nie ma przebieranki!

Został tylko problem,  
stróżów bezpieczeństwa,  
muszą szybciej strzelać  
i mieć dużo szczęścia!

*Kraków, 1988–1995*



Słoń skalny w Dolinie Ognia



Formacja skalna, Kodachrome Basin, Utah

## **Reserwat Indian Nawaho** (Monument Valley i Mexican Hat)

Po ciekawej drodze,  
w Dolinie Pomników  
„Meksykański Kapelusz”  
czeka na pątników!

W tle stromego wzgórza  
babki z czekolady,  
na wysmukłej skale  
kapelusz uparty.

Długo On już tak stoi,  
na „szy” podparty.  
Turyści wciąż go oglądają  
(czy to nie są żarty?).

Wiatr go nie przewraca,  
mróz się go nie ima,  
a On ciągle stoi,  
równowagę trzyma!

Kiedyś wiatr go zdmuchnie,  
(byle nie na ludzi!).  
Jedni z dala go obchodzą,  
a filmują drudzy.

W przydrożnym sklepiku  
znowu niespodzianka,  
gdy szukamy prezentów,  
wchodzi Indianka!



Przecudna uroda,  
profil już klasyczny,  
nos orli, usteczka,  
krok majestatyczny,

Krucze włosy długie,  
spojrzenie władczyni,  
ozdobiona pięknie,  
z wisiorkiem na szyi.

Przystaje, przegląda,  
dobiera starannie,  
a w jej pięknej kolekcji  
złota też nie braknie!

Tłum się nieco ożywia,  
nieznacznie przystaje,  
ale oczy śledzą  
złoto i korale.

Słysząc szmer podziwu,  
panie przebierają,  
(a panowie chętniej  
po portfel sięgają)!

Piękność jeszcze tylko  
schyla się za ladę,  
szybko coś kupuje  
i wychodzi nagle.

My też przeglądamy,  
by wybrać pamiątki,  
dla każdego coś trzeba,  
jakiś symbol skromny.

Cały czas jedziemy  
terenem Nawahów,  
niewielu ich w mieście,  
rezerwat swój mają.

Step słońcem spalony,  
dym w dali się ściele,  
widać w rezerwacie  
chodzą jakieś cienie,

Indiańskie szałaszy  
i małe koniki,  
stare auta, wraki,  
dalej znów step dziki!

*Kraków, grudzień 1997*



# DZIKI ZACHÓD

## W drogę!

Gdy w garażu Dziadzius spadł,  
obił sobie łokieć, zad...  
Jak tu jechać na wycieczki?  
Bołą rączki, bołą plecki?

Trzeba się zmobilizować  
i do drogi się szykować!  
(Krzesło nie jest do skakania,  
ani kości do łamania).

Doktor Jurek, chociaż syn,  
w swoim domu wie dzie prym:

„Wszystkie niepotrzebne graty  
poukładać w kącie szafy!”  
„Jedne majtki i koszula!”  
(Nawet gdybyś szedł do ula?).

Rozkaz krótki, bez wymówki:  
„wstawać, czekać, bo dzień krótki,  
ciepło jest zaplanowane,  
nie ma o co lamentować!...”

„Jurek, Jurek, Jurek,  
Jurek wszystko wie”!  
Będzie sucho, no i ciepło,  
musi, co by nie!

Wszystko jest zaplanowane  
i zamknięte już na amen.  
„Brać walizy, swoje graty,  
już zajechał Andrzej fiatem”.

Wnet lotnisko już przed nami,  
(a my swetry dopychamy!).  
Chociaż zakaz był wyraźny,  
lecz bez kurtek, los nasz marny!

Bo na mapie widać szczyt,  
pięć tysięcy, to nie mit!  
A pod szczytem widać śnieg  
i lodowiec chyba też.

W Newark piękne jest lotnisko,  
Nowoczesne, no i blisko.  
Szybko teraz dojeżdżamy,  
terminale przemierzamy,

bramki, taśmy na walizy,  
przez tunele coraz bliżej,  
stewardesa miejsca wskaże,  
silnik ryczy jak cholera  
stewardesa pot ociera.

Już lecimy nad Toronto,  
nad jeziorem, potem lądem.  
Za Saint Paul jest już gratka,

Bo tam przecież jest przesiadka,  
Salt Lake City i mormoni  
i Indianie, ci „czerwoni”!

Ale o tym będzie potem,  
o wycieczce słów za wiele,  
teraz będzie zakończenie:

Salt Lake City znów przed nami!  
Koniec z tymi wycieczkami.

W dali Góry są Skaliste,  
trochę śniegu, dalej mglisto.  
Jak zwiedzamy tę świątynię  
do lotniska cztery mile.

Trzeba jeszcze bagaż nadać,  
z samochodu rzeczy zabrać,  
słysząc warkot samolotu!  
(Nasz poczeka, choć jest gotów?).

„Za pięć minut odlot przecież,  
a Wy jeszcze lody jecie!”

Salt Lake City już pod nami,  
koniec z tymi wycieczkami!  
Rozpanoszyć się – to łatwo,  
skąd zielone zdobyć na to?

A wracając do wycieczki,  
(już nie bolą nogi, plecki),  
że czasami przyznać „hadko”,  
zasypiałem w wozie gładko.

Lecz kierownik żądał twardo:  
zapisywać wszystko wartko,  
każdy kanion, nocleg, brody,  
litr benzyny, numer drogi,

miejsowości, odległości  
i spotkane znajomości!  
Raz to nawet pół godziny  
mogłem łowić gdzie bystrzyny!

Nie zawiodłem swej ekipy,  
pstrąg był piękny – i nie lichey.

*Millburn, wrzesień 1992*

## Utah (Salt Lake City)

Gdy terminal opuszczamy,  
dodge jest już przygotowany,  
bak jest pełny, kluczyk w kasie,  
tylko sprawdzić gdzie co da się!

A wracając do wycieczki,  
wspomnę znowu, nogi, plecki,  
że się trochę rozruszały,  
choć w fotelu spoczywały!

Gorzej tylko jest ze spaniem  
i na łokciu opieraniem,  
albo jak przewrócić boczkiem,  
by nie oprzeć się tym łokciem.

Kierownicę mogę trzymać,  
byle kamer się nie imać!  
Są za ciężkie, niewygodne,  
a guziki jakieś modne?

Nie znam tego urzędnika,  
szkoda zepsuć na jelenia.  
Mam awersję do nowości,  
wolę swój aparat prosty!

Pan kierownik – nie dziwota –  
znalazł we mnie swego kota,  
mnie kieruje na pilota,  
na pisarza i dziennego kronikarza,

Daje mapy, notes czysty  
i kamerę dla „turysty”.  
A ja nie wiem, co jest grane!  
Gdzie jedziemy, gdzie jest spanie,



Jaki program tej podróży,  
(może Babcia, nam powróży?).  
Ale teraz dosyć kpin,  
przyszedł Jurek, będzie „Fin”.

Zaraz wszystko ustalamy,  
cel, Grand Teton z jeleniami,  
z Yellowstone, z gejzerami,  
Mammoth, łosie, rybne rzeki  
i bizonów pełne stepy.

Potem znowu na południe,  
do Las Vegas, (tam jest cudnie)!  
Lecz w tej chwili wprost przed nami,  
Salt Lake City z mormonami!

Jeśli mamy przeżyć „wczasy”,  
najważniejsze są zapasy,  
bo z pustynią to nie żarty,  
trzeba grać w otwarte karty!

W magazynach kupić trzeba:  
chlebuś, masło i zakąski,  
coś do picia, coś do chleba,

i maszynkę na gaz chyba,  
a na mięso do *coolera*,  
dużo lodu zabrać trzeba!

W wozie miło, (jak u Mamy),  
wszystkie rzeczy układamy  
i po kątach rozmieszczamy.

Po raz wtóry program drogi,  
kto gdzie siedzi, dla wygody,  
kto tu będzie sekretarzem,  
kto kierowcą, kto kucharzem.

„Jurek, Jurek, Jurek!  
Jurek wszystko wie!”

On *itinerary* to ma w głowie,  
(nic nam naprzód nie podpowie!)  
Ale staje, tam gdzie trzeba  
i wyjaśnia prosto z nieba,

wszystkie takie ciekawostki  
też z folderów, tak najprościej!

Potem zjeżdża do motelu  
lub campingu, czy hotelu,  
by po całodziennym trudzie  
można spocząć w ciepłej „budzie”.

Dni są teraz tak upalne,  
ale nocą bywa marnie.  
Czasem wiatry, deszcze, mgła,  
więc się dobrze wyspać „trza”!

My tu sobie gawędzimy,  
a czas biegnie, już godziny  
pozostały nam do celu  
i pierwszego dziś motelu!

Kawał drogi jest przed nami,  
więc bez zwłoki wyruszamy!  
Nie ma też alternatywy,  
bo kierowca jest jedyny!

Gdyż ja, wzorem Telimeny,  
prawo jazdy mam w kieszeni  
tam w Krakowie, w swoim domu.  
(Lecz nie mówcie nic nikomu).

A więc pilot? – Tak powiecie,  
a *itinerary* gdzie Twój przecie?  
Jurek już naciska gaz,  
autostrada czeka nas.

W rękę wpycha mi kamerę,  
pokazując z boku cienie,  
co bez przerwy nas mijają  
i „szacunku” wymagają!

Tak mijamy z prawej granie,  
purpurowe krzaki na nich,  
z lewej Słone jest Jezioro,  
a za wodą też gór sporo.

Nie wiem, za co się mam brać!  
Czy kamerą wkoło „prac”?  
Czy też pisać w tym notesie,  
co kupiony, co dzień niesie.

Jak ułożyć to dokładnie,  
żeby zdążyć, nic nie zgubić,  
co na pewno będziemy lubić!

Lecz najgorsze to te nazwy,  
po angielsku, po indiańsku,  
po francusku lub hiszpańsku!  
Całkiem się w tym można zgubić.

Potem pamięć musisz trudzić,  
jeśli nie zapiszesz w lot,  
to za chwilę będzie knot!

Trzeba będzie w mapach szperać,  
trasę tyczyć, nazwy zbierać!  
Tu postoje, tu benzyna,  
wtedy to się „kupy trzyma”.

Ale przecież się nie damy,  
na bok z tymi kamerami!  
(Chociaż w domu, przyznać muszę,  
obraz z kamer tak mię wzruszył,  
najmniejszego porównania  
do tych fotek oglądania!).

## Idaho

Gdy minęło godzin parę,  
już wjeżdżamy w piękną sprawę!  
Duży parking na nas czeka,  
za parkingiem cud, nie rzeka.

To Snake River, park natury,  
widok nań jest piękny z góry.  
Jurek kręci już kamerą,  
a ja fotki. (I co z tego).

Nie wiem, jak to w notes wpiszę,  
jaka nazwa, chociaż słyszę.  
(Pewno w kiosku są foldery  
za dwa „dolce”, lub za cztery).

Zatem potem będzie czas  
skorygować jeszcze raz!  
Coraz piękniej jest wokoło,  
nadjeżdżamy nad jezioro.

Droga górą, a nad drogą  
piękne szczyty, lasy, góry,  
błękit nieba i różowe skały z lewa,  
zieleń wody, krzak purpury,  
a tam dalej, nawet chmury!

Całkiem w dole czysta tafla,  
a na tafli jeszcze raz  
co na górze, w dole masz!

Na obrzeżach są dwie plaże  
pośród drzew, to kamping marzeń!  
Cud Ameryka, cud!

Jurek śmieje się już z nas,  
do noclegu jeszcze czas!  
Prawie setka jest przed nami,  
a my kemping obmyślamy.

Przypomina telefony,  
no i nocleg zamówiony.  
W Pocatello motel mamy,  
tam się dzisiaj zatrzymamy.

Tam się trzeba przepakować,  
letnią odzież pod spód schować,  
już za Jackson są lodowce,  
będą wiatry, zimne noce.

Trzeba powyciągać koce,  
poubierać kurtki, swetry,  
mieć pod ręką czapki, szale  
obok siedzeń (lecz nie dalej)!

## Pocatello

Nocleg był tam dziwnie swojski,  
mówiąc prosto, prawie polski.  
„Babcia śpiąca” już wjeżdżała  
i się kołdrą owijała.

Choć hotelarz głową kiwał,  
to nad ceną coś wydziwiał.  
A nam było tak wesoło,  
gdy on dreptał tylko wkoło.

Buda jego całkiem stara,  
ledwo „kupy się trzymała”!  
Lecz innego lokum brak,  
wróbel w garści to też ptak!

## Wyoming, Wspaniały Teton

Rano wczesnie wyjeżdżamy,  
bagaż już przepakowany,  
teraz góry wprost przed nami,  
czapki, swetry ubieramy.

Chociaż jeszcze pełnia lata,  
wysokość nie byle jaka,  
dwa tysiące jest od morza,  
a nad drogą, „Tatry” widać!

Jackson centrum to zimowe,  
turystyczne, kolorowe,  
narty, konie tam wierzchowe,  
blisko Teton z Yellowston.

Bramy z rogów zbudowane,  
wejścia parków ozdabiane.  
Ale my nie mamy czasu,  
coraz pilniej nam do lasów.

Lecz nic z tego, tak się zdaje,  
bo przez asfalt, (na komendę?),  
przebiegają stada pędem!

Czy wędrówka to poranna?  
Czy jesienna przepychanka?  
Stare byki, młode łanie,  
chyba spieszą na „zebranie”!

Gdy tak stojąc z boku szosy,  
robiąc zdjęcia co się zmieści,  
naliczyłem ich z czterdzieści!



Już widziałem Indian strzały,  
tętent kopyt i wigwamy!  
Lecz to tylko sen, złudzenie,  
a tu sarny i jelenie.

Długo jeszcze tak leciały,  
korzystając z przerwy małej,  
wyruszamy wolno dalej.

Z tyłu widać jak pod lasem  
nowe stada się skradają  
i we mgle rannej rozpływają.

A przed nami szczyty w chmurach,  
śniegi w żlebach, w Teton górach.  
Tam to raj jest dla narciarzy,  
alpinistów żądnych wrażeń.

Jurek łapie za kamerę,  
wsiada na prom i szaleje.  
Wspina się po dzikich żlebach,  
wodospadach i strumieniach.

Doszukuje się widoków,  
Czarnych Stawów, Morskich Oczu!  
Aż tu nagle, o radości,  
coś wychyla się z zarośli!

Dwie łopaty, głowa siwa,  
tak to klempa liście zrywa!  
Gdy już ją kamera chwyci,  
trzeba wracać, – lecą chmury!

Gdzieś po szczytach grad, pioruny,  
śnieżna zamieć, wichry wyją,  
nic nie widać – czy prom czeka?  
Siadać szybko, czas ucieka!

W wozie czeka nań ekipa,  
najeżdżona już do syta.  
A po chwili, gdy ruszamy,  
góry z lewej za oknami,

we mgle szczyty ośnieżone,  
a przed nami las i pole,  
tam granica z Yellowstone.

Jeszcze tylko panorama:  
na Mount Signal wyjeżdżamy,  
zachód słońca i obłoki,  
w tle Grand Teton na widoku.

Przez dolinę, wzgórze, stoki  
widać zarys gór uskoku,  
miejsc zapadlin i wybrzuszeń,  
tektonicznych ruchów ziemi.

Trochę dalej, całkiem z boku,  
duże osuwisko w stoku!  
Słynna niedawnymi laty,  
utworzywszy tu jezioro,  
pękła samorodna tama,

tocząc masy wody, błoto,  
zniosła wszystko co po drodze,  
miasto Kelly, mosty, drogi,  
topiąc ludzi i zwierzęta,  
lecz kto o tym dziś pamięta!



Górny Basen Gejzerów, Park Narodowy Yellowstone

## Yellowstone

Od granicy z Yellowstone,  
zбочza leśne popalone,  
sterczą w górę pnie, kikuty,  
osty szare i step dziki.

Czarne szpilki najeżone,  
a po środku stare byki  
skubią trawę, łby schylone,  
to bizona samotniki.

Straszny pożar przeszedł tędy,  
samoistny, naturalny,  
pewnie od pioruna, burzy  
strawił wszystko nim się zdławił.

Zakaz ingerencji ludzkiej,  
tak w zasadzie bezlitosny,  
ale zgodny jest z naturą,  
co odwiecznie światem rządzi!

Ręka ludzka tworzy parki,  
by zachować mateczniki,  
by poznawać, obserwować  
cud natury i pradzieje.

Znów jezioro, co krok dymek,  
czas na postój, odpoczynek.  
Błoto w ziemi się gotuje,  
czasem w górę maź wypluje.

W nosie kręci zapach siarki,  
jak w piekiełku, (to nie żarty!),  
apetytu nie dodaje, jemy szybko,  
znowu dalej, znowu dalej.

Co mil parę przystajemy,  
tam gdzie punkty widokowe,  
objaśnienia rzadkich tworów,  
tam też nazwy naukowe.

Oczka wodne z ptactwem dzikim,  
łosie widać na mokradłach,  
a pod mostem duże ryby  
krążą ławicą – defilada?

Rozdział wód kontynentalnych  
tu na szczytach się zaczyna,  
do dwóch różnych oceanów  
opadowa woda spływa.

Długi piękny kanion rzeki  
to „Tęczowa” jest dolinka,  
tam wysokie wodospady,  
z dwustu metrów woda sfruwa.

Dalej na odcinku płaskim  
jest oaza dla wędkarzy,  
stoją w nurtach Yellowstone  
i polują na okazy.

Choć spieszymy się na nocleg,  
(motel w Mammoth zamówiony),  
tu wieżowy jest wodospad,  
tu na ścieżce znów bizona.



Jelen w Yellowstone

W Mammoth potok ciepłej wody  
tworzy aż tarasy całe,  
które schodzą kaskadami,  
zostawiając marmur biały.

Nocleg w domkach kempingowych,  
pośród krzewów i zieleni.  
Pod oknami w nocy cicho,  
stada saren i jeleni.

Rano dla nas przy motelu  
stół jest szwedzki zastawiony,  
szkoda czasu, jemy szybko  
i z powrotem do Yellowstone.

To granica jest północna,  
Stan Montana na tablicy,  
miasto Gardner nieciekawe,  
więc jedziemy dalej, dalej.



Górny Basen Gejzerów, Park Narodowy Yellowstone

Teraz powrót drugą stroną,  
najciekawsza, moc gejzerów,  
tu też centrum widokowe,  
bar, hotele, tłum turystów.

Siedzą tu za szklaną ścianą,  
piją piwo, dzin lub colę  
i czekają na megafon  
aż ogłosi startu porę.

Tłum się zbiera i wychodzi,  
gdy śnieżyca, część zostaje,  
by przez szyby i bezpiecznie  
ciągnąć piwo lub koktajle.

Na pomostach z odległości  
każdy szuka miejsc dogodnych  
by kamerą, aparatem  
jak najlepszy obraz zdobyć.

Gejzer Steamboat raz do roku  
strzela w górę regularnie,  
a erupcje, wszystkie większe,  
są w programach przewidziane.

Dalej piękne widowisko,  
przy przejeździe obok z lasu  
wyszedł sobie jeleni duży,  
krok za krokiem – skubie trawę.

Gdy stajemy zachwyceni  
byk ogromny, okazały  
wchodzi w wodę, pije długo  
i spokojnie na nas wali.



Z okien szybko otwieranych,  
aparatem i kamerą,  
utrwalamy łeb dostojny  
i królewskie wieńce jego.

Znów się zbliża, skubie trawę,  
patrzy bystro w naszą stronę,  
(trwogi nie ma), wychodzimy  
i robimy zdjęcia z bliska!

Nam czas jechać! – (Nie wypada?!)  
Wreszcie byk unosi głowę,  
mija bokiem nasz samochód  
i za krzaki, w swoją drogę.

Tylko jeszcze to poroże  
raz pokaże, potem znika.  
Dalej znów „Rycząca Góra”,  
całe zбочe dymi, pluska.

W dali biegnie mały jeleń,  
kojot w trawie drogi szuka.  
My ruszamy w dalszą drogę,  
poprzez Utah na południe.

Koło drogi górską rzeka,  
czysta, bystra, „dunajecka”,  
mały postój na śniadanie,  
więc spróbuję wędkę na niej.

Kilka rzutów i już ryba,  
pstrąg na trawie się podrywa.  
Nie ma czasu na degustację,  
trzeba czekać na kolację!

Nocleg w Ogden po podróży,  
pstrąg z patelni (bardzo duży)!  
Trzy osoby się nakarmią,  
(ale nie ma nic za darmo?).

Trzeba podlać dla rozgrzewki  
pierwszą rybę, (nie przelewki)!  
Rano droga bez przystanków  
i na wieczór już jest Panguitch.



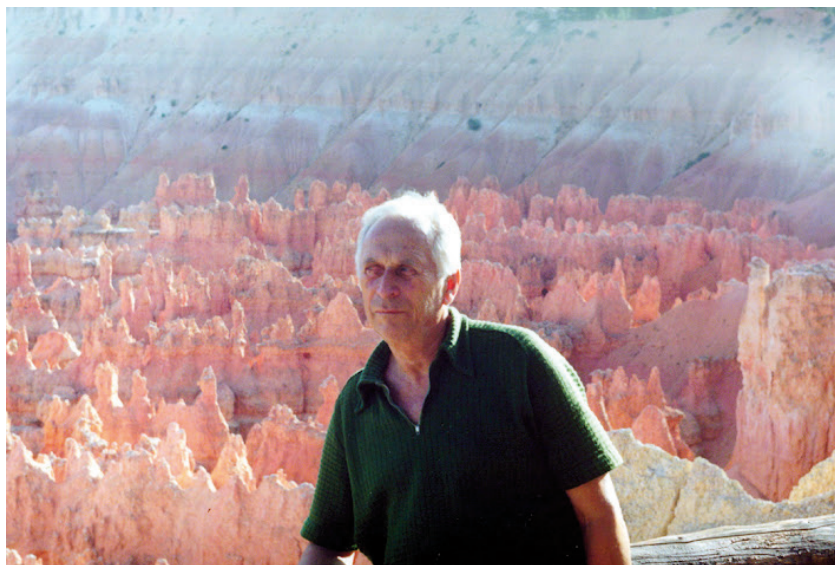
Bizon w Parku Narodowym Yellowstone

## **Kanion Bryce**

Mamy jeszcze trochę czasu,  
by Bryce Kanion też zobaczyć  
tuż przed nocą, to atrakcja,  
zmiana wrażeń... i kolacja.

Gdy jedziemy wzdłuż Red River,  
ziemia, krzaki purpurowe  
sterczą w niebo dziwne stwory,  
w oczach bryły kolorowe.

Stoją równo jak w szeregu,  
ni kolumny, ni postacie,  
na kształt buław, do zabawy,  
przez mocarzy sformowanych.



Autor z Kanionem Bryce w Tle, Utah

Wcześnie rano wyruszamy,  
znów Red River jest przed nami,  
coraz wyżej pniemy w górę,  
całe ściany są w purpurze.

Coraz więcej rzeźb jest z boku,  
w jednym stylu stoją obok.  
Tu Sierotka jest Marysia,  
tu „Plotkary” cicho plotą?

„Thora Młot”, sterczy w górze,  
tak jak wszystko, jest w purpurze.  
W jednym stylu i kolorze,  
całe lasy – sople może?



Na szlaku w Parku Narodowym Kanionu Bryce, Utah



Młot Thora (na pierwszym planie), Park Narodowy Kanionu Bryce, Utah



Panorama Parku Narodowego Kanionu Bryce, Utah

Jakby sople odwrócone,  
stalagmity w pięknej pozie,  
a wysokie kilka pięter,  
między nimi sosny wielkie.

Albo boska szachownica,  
pełno „królów”, „pionków”, „dam”.  
To magazyn figur zbitych,  
tu złożonych, zbitych tam?

Na nic zdają się domysły,  
bo z „balkonu” widać wszystko!  
Szachownicy nie ma tam,  
nie ma królów, ani dam.

To dolina Bryce zwana,  
aż do horyzontu kresu  
wszędzie w górę sterczą głowy,  
każda inna, choćby nieco.

Jakby wojsko tu zebrane,  
czeka wodza, by iść dalej?  
Wszyscy stoją jak zakłęci,  
setki latek, może więcej?

*Millburn kwiecień 1998*

## Park Zion

Dalej Utah, znowu droga,  
tak wjeżdżamy między skały.  
Wjazd do Parku, światła, stráže,  
tunel długi milę prawie.

A wokoło stożki skalne,  
Parku Zion są symbolem,  
zbocza ciemne, naturalne,  
w szachownicę naznaczone.

Tu mormonów przystań była  
przed uciskiem ludzi wschodu,  
w nazwie „Dziki” pozostała,  
tu legenda jest Zachodu.

Parking, bar, a w drzewach cienie,  
dla turystów chętnych schody,  
stąd widoki, główne szczyty,  
zasadnicze parku człony.

Wszystkie nazwy z Testamentu,  
każda inna, wszystkie święte,  
stąd ten Syjon w nazwie parku,  
stąd imiona patriarchów.

Wjazd do Zion między góry,  
wielkie, groźne bloki skalne,  
wszystkie wiszą nad doliną,  
przy nich człek wygląda marnie.

Najciekawsza jest kotlina,  
płyńcie potok, drogi nie ma,  
ale wszyscy ci turyści  
idą w wodę, tak jak przyszli.

Iść do źródeł, piękna sprawa,  
woda czysta, dno jak skała.  
Ściany z boków coraz wyższe,  
to pionowe, to obwisłe.

W razie burzy ciężka sprawa,  
groźnie kończy się wyprawa.  
A ratunek tylko w biegu,  
kto nie zdąży, koniec jego!

Tak niedawno tutaj było  
kilku śmiałków, nie wróciło.  
Nie zdążyli uciec w porę  
przed płynącym z gór potokiem!

Kanion wąski, ściany śliskie,  
potok płytki, ale bystry,  
nigdzie półki, ni schronienia,  
to bez biegu wyjścia nie ma.

Lecz pogoda dziś wspaniała,  
Jureczkowi się udała,  
może w górę powędrować  
i kotlinkę spenetrować.

Iść z młodzieżą, ciężka sprawa,  
dla nas ścieżka, spacer, trawa,  
na poboczach piękne kwiaty,  
nie szarotki, ani maki.

Rosną w skałach – kwiat czerwony,  
liście grube, owłosione.  
Objeżdżamy z drugiej strony,  
ten rezerwat udziwniony.



Nocleg na kempingu twardym,  
namiot rozbić tu nie żarty.  
Babcia woli w mikrobusie,  
bo bezpieczniej, ciepło, ciszej.

Można zamknąć drzwi na klucze,  
śpi się twardo i bez wzruszeń,  
a na zewnątrz niebezpiecznie,  
chodzą myszki, coś tam jeszcze.

*Millburn, maj 1998*



Góra

## **Dolina Śmierci**

Rankiem z Zion nie ma śladu,  
Kalifornia do obiadu.  
Pod Las Vegas obiad słynny,  
z kowbojami, z ginem zimnym.

Dalej w drodze przerwa mała,  
równa droga i nie ślisko,  
a tu nagle zbiegowisko!  
Choć pustynia równa cała,  
nie ma ruchu – leżą ciała.

Tir z naczepą, rozbabrany,  
dach i ściany popękane,  
koła w górze, towar w stepie,  
a na jezdni też nie lepiej.

Z dala nic nie widać prawie,  
tylko auta na sygnale!  
Trzeba czekać, „władza” działa,  
sprząta jezdnie, zbiera ciała.

Helikopter spływa z góry,  
bierze rannych, znowu w chmury!  
Już jedziemy pomalutku,  
nie możemy ukryć smutku.

Dojeżdżamy do granicy,  
tu Death Valley na tablicy.  
Zjazd z przełęczy niezbyt stromy,  
z dołu bije żar ogromny.

Wicher toczy krzaki stepu,  
trudno ustać, brak oddechu.  
Dalej rancho i muzeum,  
Tourist Center, moc folderów.

Resztki kopalń i narzędzi,  
tu parowóz na uwięzi!  
My zjeżdżamy coraz niżej,  
dno depresji, błota bliżej.

Potem zdjęcia na pustyni –  
to najniższy punkt na ziemi! –  
pod tablicą co obwieszcza:  
To Bad Water – 86 m.p.p.m.

W dali piękne jest osiedle,  
lecz w Las Vegas  
wszystko zblednie!

*Kraków, czerwiec 1997*

## **Znów Nevada**

(Las Vegas nocą)

Coraz szybciej przejeżdżamy,  
lecz wjazd nocą planowany,  
sztuczne światła, reflektory,  
wtedy efekt jest wiadomy.

Teraz mamy czas do zmierzchu,  
by Las Vegas witać nocą,  
wtedy cały oświetlony,  
wtedy tłumy walą szosą.

Wszyscy w stronę promenady,  
tylko ta się tutaj liczy,  
tylko hazard, tylko granie,  
tutaj mieszkań nie ma wcale!

Okna kasyn się migocą  
i do środka gości proszą.  
Do wyboru, do koloru,  
według konta i humoru!

Tu karciarze się zbierają,  
tu do seksu namawiają.  
Naganiacze coś rozdają,  
coś tłumaczą, zapraszają.

My stajemy pod Mirage'em,  
pałac rzymski, palmy, stawy  
i fontanny!  
(Wnet je czeka koniec marny?)

Już w programie jest wpisana  
chwila trwogi na wulkanie!  
Być w Las Vegas bez „trzęsienia”?  
To nie warto i bez wrażenia!

Zanim wypijemy piwo  
ziemia zadrży i, o dziwo,  
przed kasynem gdzie fontanna,  
zamiast wody, ogień w wannach!

Coraz wyżej ogień tryska,  
coraz bliżej iskra pryska,  
coraz szerzej spływa lava,  
coraz głośniej trwa zabawa.

„Pałac rzymski” już się pali,  
lecz kasyno się nie wali,  
trwa loteria dla znudzonych,  
trwa męczarnia zrozpaczonych.

Nie dla wszystkich los się ścięła,  
Biją dzwony gdzieś w kościele!  
Tłum turystów ze szklankami,  
a na twarzach z wypiekami,

śledzi karty już rozdane,  
czeka szczęścia lub przegranej.  
Są tam również ci znudzeni,  
*spleen* na twarzy, oczy w ziemi.

Lud po trawce się przewala,  
albo siedzi po lokalach.  
Robią zdjęcia, piją piwo,  
rozmawiają ze sobą żywo.

Na asfalcie defilada,  
sznur pojazdów się przekrada  
z krańców świata, wszystkie rasy,  
(wszyscy pchają się do kasy!).

My po chwili się włączamy,  
lecz wjeżdżamy coraz dalej.  
No bo w centrum wielka gala:

Tu zameczek, a tu hala,  
Tu blok duży, wieża mała,  
motel, grzyby, tu ślimaczek,  
z boku Marysienka płacze!

Wszędzie tłumy podniecone,  
pełno reklam rozwieszonych,  
naganiacze coś wręczają,

Na „seanse” zapraszają,  
zaproszenia ze zdjęciami,  
niebrzydkimi panienkami!

A tymczasem tłum się bawi  
i trąca się szklankami,  
ziemia dalej drży w posadach,  
a z fontanny spływa lawa!

Ogień z wodą w jednej wannie,  
ogień górą, lawa na dnie,  
a turyści ze szklankami  
patrzają, jak się ziemia pali.

Jak za Rzymu, w tej Pompei,  
od wulkanu Wezuwiusza  
całe miasto znikło w ziemi!  
Tu mizerna to jest sztuka!

Lecz zagłady tych pałaców  
nie należy prowokować.  
Tyle pracy i zachodu  
drogo może to kosztować!

Ale tutaj nie wypada  
ganić innych – lecz filmować!  
Przed potężnym, jasnym blokiem  
wnet stajemy z turystami.

Trzeba zmierzyć się ze szczęściem,  
co w „zielonych” jest schowane!  
Na nic modły i zaklęcia,  
nikt z nas nie miał dzisiaj szczęścia!

Tak że bilon i żetony  
pochłonęły sprytne „stwory”!  
Wszędzie widać tych krupierów  
ściąających z sukna żeton.

Lecz najwięcej jest frajerów,  
szukających tutaj szczęścia,  
wypatrują z nieba manny,  
która im na pewno spadnie.

Syci wrażeń, z pustą kiesą,  
czas nam szukać gdzieś noclegu!  
Niedaleko jest jezioro,  
tam kempingów różnych sporo.

Późną nocą dojeżdżamy,  
duży kemping, jakieś bramy,  
bez portiera, bez obsługi,  
jakieś skrzynki i napisy.

Trzeba tylko guzik wcisnąć,  
podać konto, coś przycisnąć,  
wpisać wszystko na blankiecie:  
drzwi się same otwierają,  
miejsce piękne – no to spanie!

Rano biegnę nad jezioro,  
może jaka gruba ryba  
na posiłek się nam przyda!

Lecz na wędkę nic nie bierze,  
a śniadanie czeka wraz,  
no i w drogę znowu czas!

Już Lake Mead jest za nami,  
teraz nas Grand Canyon mamy.  
Tak jedziemy godzinami  
wciąż do baku dolewamy.

Wkoło ziemia jest czerwona,  
w zboczach górskich i załomach.  
Liście krzewów purpurowe,  
tylko szczyty zabelone!

Z dala widać ruchu wiele,  
auta, domy i hotele.  
Pasów jezdnych coraz więcej,  
coraz luźniej, coraz prędzej.



Nagle widzę jak przed nami,  
sunie srebrny „pocisk” w vanie.  
Jedzie prawym pasem szybko,  
a zajeżdża nam już blisko!

Tak zajęty czułą mową,  
skręca w lewo, kręcąc głową.  
Pani śmieje się do niego cudnie,  
a on jeszcze, na południe.

Cały czas zajęty mową,  
pali cygaro, błyszczy złoto,  
nic nie widzi, nic nie słyszy,  
(bo się do hotelu spieszy!).

Krzyczę: Jurek!... Jurek blednie,  
za hamulce... i bezwiednie  
skręca w lewo, pisk opony,  
wóz się chwieje, lecą graty,

Lecz ucieka na pobocze,  
dobrze... pusto jest na drodze!  
Już stoimy przy hotelu,  
obok pana „szczęśliwego”!

Milimetry nam zostały,  
ale oba wozy całe,  
przyciśnięci wóz do wozu,  
z piskiem opon, z kurzem wokół!

Gdy stajemy, pan truchleje,  
pali cygaro, pani mdleje,  
nie wie nawet, co się dzieje.  
Nic już z siebie nie wyksztusi,  
że dziękuje – też nie musi!!!

Jurek mu dziękuje pięknie,  
tak zostało powiedzenie,  
że „dziękuję za dziękuję”!  
(Nie za wiele, lecz kosztuje!).

Dalsza droga już w milczeniu,  
bardzo blisko jest do celu.

*Łęg, 12 sierpień 1997*

## **Wielki Kanion, Kolorado**

Gdy stajemy na parkingu,  
wśród turystów poruszonych,  
wszyscy biegną podnieceni,  
by zobaczyć „krawędź ziemi”.

Tylko cienka ścianka krzewów  
dzieli nas od skalnych brzegów.  
Już na szczycie – a pod nami  
wielka przepaść jak w otchłani,  
ściany skalne w pasy białe  
i purpurą nacinane.

Gdzieś na horyzontu skraju,  
hen dziesiątki kilometrów,  
jest brzeg drugi groźnej rzeki,  
widać zbocza góry, „ściegi”,  
chyba ścieżki w dół, do „piekieł”.

Tu turystom dech zapiera,  
ogrom głębi i przestrzeni,  
słysząc tylko szepty ciche  
i oddechy jak westchnienia.

Słysząc ciszę, błyski fleszów  
nad przepastną dna przestrzenią  
i nieśmiałe wejścia śmiazków  
na pomosty, „krawędź ziemi”!  
(Strach dotykać się bariery!).

Gdy minęło odrętwienie,  
rozdzielamy w dole cienie,  
zarys ziemi zazielenionej,  
w kilku miejscach odsłonięty.



Wielki Kanion Rzeki Kolorado

Dzikie progi groźne z dala,  
za pieniawą warkocz wody  
i zakola nieprzystępne.  
Z boku Phanton Ranczo dzikie,  
nitki drogi i świątynie.

Czasem tylko słyhać głosy,  
gdy turyści zapatrzeni,  
jak w ojczystych swych językach,  
z prawie wszystkich krain ziemi,  
szepcą cicho między sobą:  
„Koniec świata, krawędź ziemi!”.

Szybko zdjęcia, do muzeum,  
bo musimy nim się ściemni  
poszukiwać gdzieś noclegu,  
bardzo blisko, przy krawędzi,  
by przed świtem być na miejscu.

Taki program jest w zeszycie,  
a *itinerary* przecież święte!  
Dziki kemping na polanie,  
piękne sosny i zarośla,

namiot dla nas, Mama w vanie  
na to nasze krótkie spanie.  
Lecz za karę najścia w nocy,  
to budziły nas kojoty.

Jeden z lewa, drugi z prawa,  
wyły sobie aż do rana.

Już przed świtem jest pobudka,  
ranek rzeński, droga krótka,  
ale Kanion – cud o świetle,  
trzeba przeżyć należycie!

Pierwsze smugi jeszcze w chmurach,  
potem róże w owczych skórach,  
czarne głębie dna kanionu,  
rysy szczytów zacernione.

Coraz głębiej schodzą cienie,  
coraz jaśniej widać ziemię!  
Już zarysy górnych brzegów,  
już zarysy skalnych ściegów.

Z tyłu tłumy zapatrzonych,  
ciche szepty zachwyconych,  
śpią na skałkach przytuleni,  
w ciepłe koce otuleni.

Lekkie pstryki aparatów  
i szum kamer fotografów.  
Wszyscy patrzą jak w teatrze,  
a skupieni, jakby na mszy!  
Cud Ameryka, cud!

Biały szczyt wychodzi z ziemi,  
dolne warstwy już w czerwieni,  
z boku widać ślady szlaku,  
zarys rancza w głębi ziemi.

Chyba ludzie, osły, konie,  
niknie widok wprost na dole.  
Szybko cienie rozjaśniają,  
całe chmury gdzieś znikają.

Ciszę rwie gdzieś ślad człowieka,  
głos go goni, on nie czeka,  
białą smugą znaczy niebo,  
warkot za nim, on ucieka!

Ostry widok ścian pionowych,  
pełny kontrast głębi dolin,  
zmienny kolor skalnych ścian,  
jasne w słońcu, ciemne w dnach.

Cały dzień jedziemy wzdłuż,  
coraz bliżej rzeki już,  
coraz niżej schodzi brzeg,  
coraz bliżej odjazd też.

Jeszcze widok na dopływy,  
z bliska woda płynie żywiej,  
ściany skalne schodzą stromo,  
czy są zejścia, nie wiadomo?

## **Dolina Pomników**

W końcu Kanion opuszczamy,  
żał nam tylko jechać dalej,  
nigdzie się w świecie nie zobaczy  
tych ogromów ziem, przestrzeni!

Wszystko dla nas traci barwę,  
nawet słońce świeci marnie!

Tak jedziemy godzin parę,  
w ciszy sennej, zamyśleni,  
czy tu jeszcze powrócimy,  
by oglądać cuda ziemi?

Coraz dziwniej jest przed nami,  
z tej równiny jak spod ziemi  
jakieś bryły wyrastają.

Każda inna, stoją w szyku,  
to Dolina jest Pomników.

Tutaj z boku „Palec Boży”,  
Tutaj znowu krągła bryła,  
na kamiennym postumencie  
niczym skalnej baby szyja.

I znów dalej na poboczu,  
w tle urwistych brzegów skalnych,  
stoi sobie głaz ogromny  
na szpiczastej bryle skalnej!

To „Kapelusz Meksykański”,  
znowu istny cud natury,  
rondo duże, jak toczone,  
na prawdziwej głowie góry!



Potem w sklepie zaskoczenie,  
wśród turystów poruszenie,  
wchodzi piękność indiańska,  
w sile wieku, zdobna w złota,  
krucze włosy, mina pańska.

Duma bije od postaci  
i błysk w oczach, cera blada.  
Ze spokojem władczym gestem,  
szpera w złocie, mierzy, wkłada.

Szybko płaci i wychodzi.  
To ją wszystkie oczy śledzą,  
taka dumna postać,  
taka piękność, prawie zjawa!

*Millburn, kwiecień 1998*



Dolina Pomników, Arizona

## Przystań Hall's Crossing

Już dziewiąty dzień podróży,  
przydałby się postój dłuższy,  
by posprzątać wkoło wozu,  
by się wyspać do oporu!

Świat tu dziwny jest wokoło,  
w tle są skały na czerwono,  
sterczą słupy, baby, fajki  
i te z piasku, i te z bajki!

Ciągle w oczach mamy góry,  
ciągle w myślach skalne stwory!  
Tak jedziemy przez dzień cały,  
a krajobraz – wciąż wspaniały.

Z dala hen na widnokręgu  
idą „żółwie” równym rzędem,  
idą sobie gdzieś tam w dole,  
śpieszą wolno, lecz wytrwale!

Gdzieś w dal razem maszerują,  
między sobą wciąż plotkują!  
Lecz gdy bliżej podjeżdżamy,  
z żółwi pozostają skały.

Piękny widok z bliska pryska,  
tylko lasy i urwiska,  
a jak z bliska podjeżdżamy,  
„Ściana Śmierci” jest nad nami.

Gdy jesteśmy coraz bliżej,  
ściana rośnie coraz wyżej,  
a my pod nią coraz niżej!

Już się kończy asfalt czarny,  
dalej tylko rumosz skalny.  
Trasa wiedzie między skały,  
wąską drogą brniemy dalej.

Droga niknie w jakiejś dziurze.  
Ciągłe skręty, serpentyny,  
twarda pralka, brzęczą szyby,  
szklanki dzwonią gdzieś do wtóru,  
a my ciągle w górę, w górę.

Trzeba jechać na sygnale,  
bo zakręty bez barierek,  
wąskie takie nad przepaścią,  
nie wyminiesz nawet cielęcía.

Z góry słyszać też sygnały,  
czeka na nas niecierpliwie  
i kierowca, twarz pobladła,  
oczy patrzą przeraźliwie.



Po burzy nad jeziorem Powell, Utah

Czy przytulić się do skały,  
czy wypada lewą stroną?  
W górze zdjęcia księżycowe  
na tle drogi do kanionu.

Teraz znowu dobra droga,  
do przystani i do promu,  
duży kemping, widać rzekę  
ruszt gazowy, tak jak w domu!

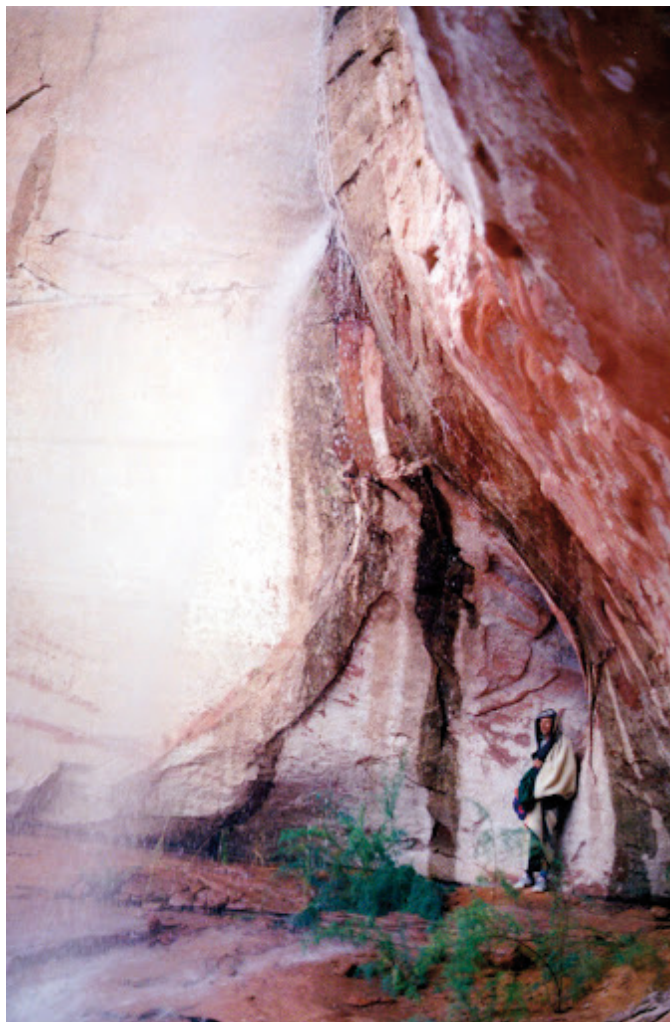
Tutaj góry się rozchodzą,  
brzegi strome łagodnieją,  
tworząc port w zatoce spory,  
motorówek pełne skwery.

Kemping piękny, chociaż pusty,  
tylko na noc zjazd turystów.  
Namiot, prysznic, stoły, ruszty,  
dużo miejsca, widok z góry.

W dole port i prom z przeprawą,  
dużo łodzi, jachty, statki.  
Motorówkę można nająć,  
na dzień cały na przejażdżki.

A naprzeciw, na małym wzgórzu,  
słoń się uśpiony wyleguje,  
tylko głowa się nie rusza,  
tylko patrzy w jedną stronę.  
(To na pewno twarda sztuka!)

To na pewno dla turystów,  
lub ze skały utworzony,  
sprawa szybko się wyjaśnia,  
gdy zjeżdżamy z drugiej strony.



Chronić się przed burzą na jeziorze Powell

## Tęczowy Most

Rano wczesnie jest pobudka  
po wczorajszym odpoczynku,  
wstawać szybko, jeść śniadanie,  
długa jazda czeka na nas,  
bo dziś w planie motorówka!

Na rozkładzie Most Tęczowy,  
wśród gór dużych, niedostępnych  
łuk tęczowy, most z kamienia,  
stromo góry – dojścia nie ma.

Wraz z zaporą droga wodna  
jest bezpieczna i wygodna.  
Trzeba tylko motorówką  
jechać szybko godzin cztery,

Płynąć w górę, między skały,  
tam jest dojazd doskonały!  
Kanion ściany ma pionowe,  
na nich rysy są w poziomie.

Po nich poznać stany wody,  
te wysokie w czas deszczowy,  
a te niskie w czas pogody.

Ściany głównie są czerwone,  
a w nich warstwy kolorowe,  
białe, ciemne i różowe.

Wszystkie równe i poziome,  
razem z wodą równoległe,  
(Każdy opis przy nich błędnie!).

Te na trzecim, czwartym piętrze  
są wskaźnikami pór deszczowych.

Dziś pogoda jest zdradliwa,  
w dali kłębią się czarne chmury,  
błysk piorunów, huki grzmotów,  
po ścianach kanionu echa niosą.

Szukać schronu gdzieś musimy,  
a tu wszędzie strome brzegi,  
ściany skalne niedostępne,  
nigdzie wjazdu, ni schronienia.  
W górze groty! – Dojścia nie ma!

Wreszcie dopływ z lewej strony,  
mały kanion, niższe brzegi,  
tu skręcamy przemoknięci,  
w strugach deszczu już biegniemy!

Przystań cichsza, fala mała,  
łódkę sznurem mocujemy  
do niewielkich dwóch kamieni,  
znowu biegiem pod przewieszkę,  
która schroni nas przed deszczem!

Przemoknięci, lecz z prowiantem,  
kocem sprzęt swój okrywamy,  
tak stoimy pod ścianami,  
by przeczekać burzy fale.

Lecz niedługo mamy sucho,  
nie minęło minut parę,  
jak po skałkach i nad nami  
wszędzie strugi wody mamy.

Wkrótce potok z kamieniami  
jak lawina górą leci,  
ze szpar skalnych już zalanych  
różne gady uciekają.

Całe szczęście, że w odnodze  
duża fala nas omija,  
tak że łódka stoi cała,  
choć ją szarpie i wyrywa.

Burza szybko przeszła bokiem,  
słońce znowu świeci mocno,  
za chwil parę znowu sucho,  
więc ruszamy w dalszą drogę!

Gdy do celu dobijamy,  
z dala przystań – łodzi pełno,  
kręty kanion wchodzi w góry,  
a na końcu – „cud natury”!

Łuk ogromny na tle szczytów,  
tak jak tęcza w tle błękitu,  
nad kanionem wsparty o skały,  
obustronnie – łuk wspinały!

„Most Tęczowy” – cud natury,  
z dala widać – hen pod chmury!  
A w tle znowu – skały, góry,  
pod nim potok, skały, dziury.

Duży prześwit nad kanionem,  
dojście z portu pomostami,  
woda płynie tylko z deszczem,  
a tam tylko krzaki, skały.



Dziki obraz i ponury,  
w koło tylko góry, góry!  
Szybko zdjęcia z przodu, z boku,  
by uwiecznić cud natury.

Chwila ciszy i zadumy,  
trzeba wracać, bo znów chmury.  
Do kempingu godzin parę,  
po wrażeniach niesłychanych,

co w kamerze jest ujęte,  
burza nagła z piorunami,  
„wodogrzmoty”, huk kamieni  
nad głowami nieustanny.

Syci wrażeń, wygłodzeni  
wypływamy w bok przystani,  
gdzie na skałach, w błogiej ciszy,  
zasłużony obiad zjemy!

Czasu mało, trzeba wracać,  
bo zdradliwe tu przestrzenie,  
a wycieczka motorówką,  
wcale tak nie trwała krótko!

Choć kapitan gaz dociskał,  
łódź się trzęsła, motor prychał,  
skały w pędzie nas mijały,  
a czas włókł się jak ospały.

W drodze nie da się zatrzymać,  
a tu jazdy godzin wiele,  
łajba mała jedzie szybko,  
twarde deski, moknie wszystko.

Wyje silnik, pryska woda,  
w uszach szumi pęd powietrza,  
co tu mówić jechać trzeba,  
tyle ryb, a łowić się nie da!

*Millburn, maj 1998*



Tęczowy Most - święty łuk skalny Indian Nawho

## **Naturalne Mosty**

(Sipapu, Kachina, Owachoma Bridge)

Jeśli mamy zwiedzać „mosty  
naturalne” nad wodami,  
trzeba pieszo maszerować  
i podchodzić też schodami.

Dojazd drogą jest przerwany,  
nocą przeszła tędy burza,  
pozrywała gdzieś przepusty  
i została wyrwa duża.

Obwodnica turystyczna,  
z której widać wszystkie mosty,  
wiedzie również pod przewieszką  
z dużej skały utworzonej.



Jerzy Patoczka (syn autora i autor zdjęć) z mostem skalnym Owachomo,  
w Parku Mostów Naturalnych, Utah



Most skalny Owachomo, w Parku Mostów Naturalnych, Utah

Z dala płaska jest wyżyna,  
trochę na niej, krzaków, gruzu,  
z bliska strome są urwiska,  
w głębi płynie woda czysta.

Most jest płaski, łuk go trzyma  
wodą dołem wyrobiony,  
łączy oba brzegi strome,  
kunszt to iście inżynierski,  
tysiąc lat już chyba stoi.

Widać wprawdzie ślady czasu,  
długie rysy i spękania,  
lecz konstrukcja idealna  
wróży drugi tysiąc stania!

*Millburn, maj 1998*



Panorama w północno-wschodnim Utah (okolice Doliny Bogów)

## Dolina Bogów

Rano znowu pakowanie,  
trzeba zwinąć obóz szybko,  
bo dzień cały na zwiedzanie  
przez Dolinę Bogów trzystu?

Przystajemy co kawałek,  
droga ciężka, kamienista,  
wśród kamieni głazów pełno  
na wyschniętych dna łożyskach.

Lecz co chwila coś nowego,  
coraz inne Bogów cienie  
stoją z boku, w górze, w dole,  
w różnych pozach, na przestrzeni.

Można wybrać z tych postaci,  
setki ujęć i natchnieni,  
tu Sierotka jest Marysia,  
tu „Faraon” sobie siedzi.

Tu wojownik, tu poeta  
w rękę jakiś symbol trzyma,  
a pod nimi tłum gawiedzi,  
każdy coś nam przypomina!

Tu na twardych skałach siedzą  
urojone we śnie strachy.  
Można z każdym coś pomówić,  
nie znikają, można patrzeć!

W dali siedzi na „mównicy”,  
tak na podium dużym płaskim,  
z głową w książki zapatrzoną  
jakiś „mędrzec” smutny taki

Wkoło pusto bez słuchaczy,  
a on czyta, słucha, patrzy?  
Czy milczących to dolina,  
czy też ludzi Bogów wartych?

Różnie ich tu nazywają,  
jedni tak, inaczej drudzy.  
stoją sobie tak grupkami,  
nie herosi, ani ludzie.

A tak wszędzie to abstrakcje  
dzieł niedokończonych,  
jak stercząca „dłoń” ze skały,  
z palcem w górę, w nieboskłony.

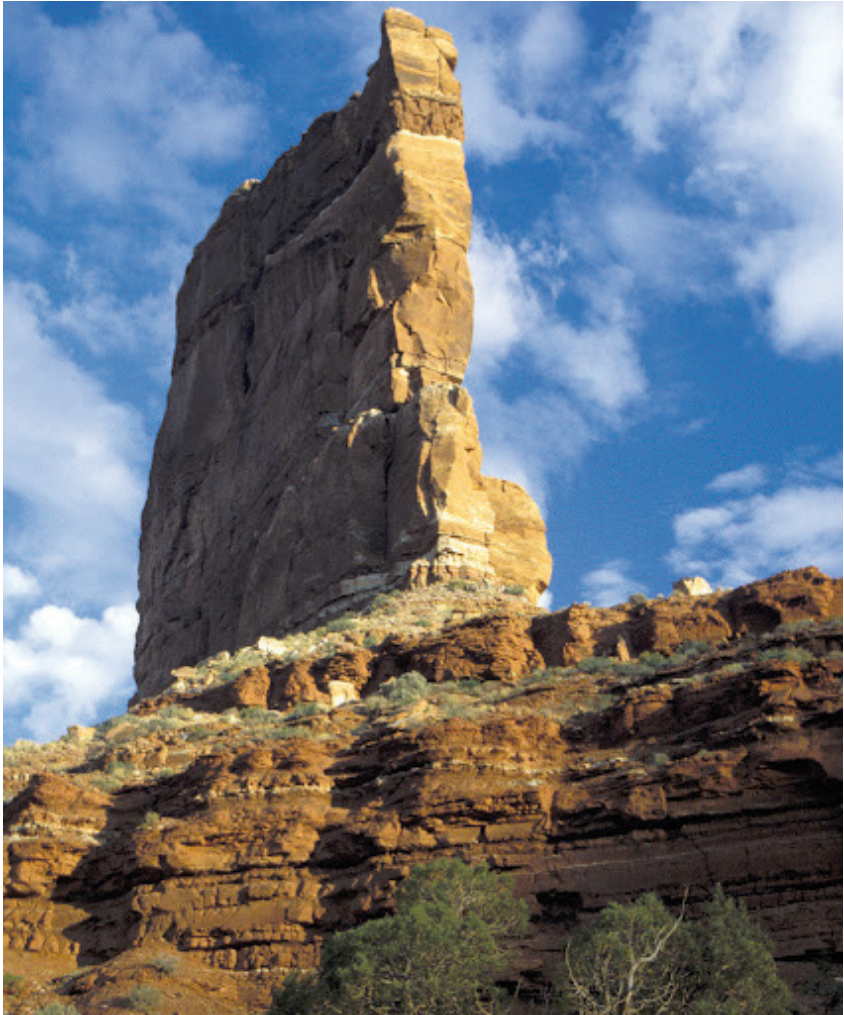
Tak nam mija pół dnia prawie,  
lecz horyzont wciąż przed nami,  
widać w dali bloki skalne,  
tam wieżowce na Manhattanie.

Raz są z lewej, raz są z prawej,  
wszystko niknie gdzieś za nami,  
dojeżdżamy już nad rzekę  
zwaną Żółtą, brudną stale.

Obiad będzie tu obfity  
kilka dań i jajecznicą,  
coś słodkiego na jęczyzek,  
krótki postój, coś do picia!

Znów benzyna i narada,  
po przeżyciach niesłychanych  
czas na chwilę postanowień,  
jaki program mamy dalej?

*Millburn, maj 1998*



Ostojańce w Dolinie Bogów, Utah



## Mesa Verde

Teraz skok w inne rejony,  
Mesa Verde cel przed nami,  
miasto Cortez, skąd wypady  
na wyżynę Indian znaną.

Jeszcze tylko w bok skręcamy,  
nie po drodze, lecz też gratka,  
można być tu w czterech stanach,  
w czterech stanach zdjęcia naraz!

Nowy Meksyk, Colorado,  
Arizona oraz Utah  
to *Four Corners*, punkt na mapie  
w środku prerii, łączy stany.

Tu stoiska z pamiątkami,  
indiańskie z rezerwatu,  
amulety i ubiory,  
także złoto z kamieniami.

Wszystkie rzeczy są gustowne,  
oryginalne, użyteczne,  
trzeba wszystkim wnukom kupić  
z tej wycieczki – to koniecznie!

Rano wyjazd na płaskowyż,  
gdzie przed tysiącem laty  
żyły ludy Anastasi,  
z naturalnych siedzib znane.

Na ogromnym płaskowyżu,  
potokami przecinane,  
są wąwozy z przewieszkami,  
a w nich ludzkie dziuple skalne.

Z góry, z dołu, niewidzialne,  
dojścia do nich niedostępne,  
stopnie w skałach są wykute  
lub drabiny spuszczone.

A w muzeum są zebrane  
wszystkie rzeczy znalezione,  
obraz zajęć ich codziennych  
tak w popłochu opuszczonych.

Pierwsze ślady to zbieraczy,  
łowców zwierząt wędrujących,  
potem *kiwas*, jamy w ziemi,  
domy z gliny ulepione.

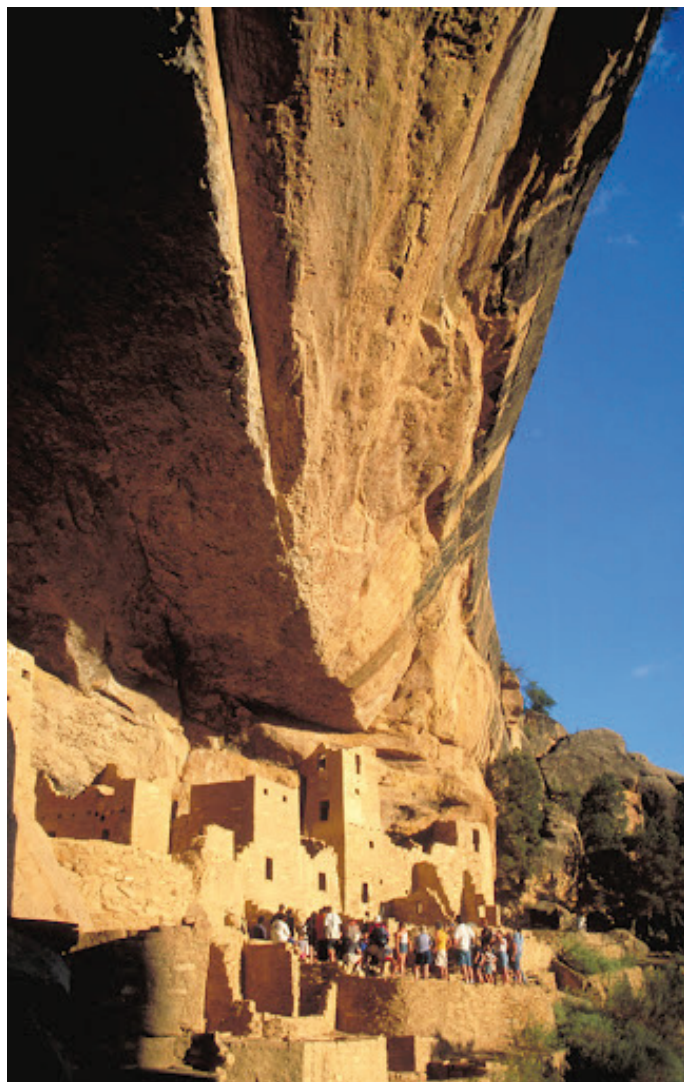
Stąd przenieśli się do sadyb,  
domów pod przewieszką skalną,  
z kilku pięter zbudowanych.

Wszystkie nagle opuszczone  
przed bezwzględny wrogiem jakimś?

Sadyb ludzkich jest z czterdzieści,  
wszystkie skryte w niszach skalnych,  
z dołu z góry niedostępne,  
prawie wcale niewidzialne!

Domy wszystkie murowane,  
kondygnacje nawet cztery  
od posadzki, kamień polny  
aż pod pułap niszy skalnej.

*Millburn, maj 1998*



Sadyby skalne indian w Mesa Verde, Kolorado

## **Kamping w Moab**

(Canyonland, Island in the Sky, Punkt Martwego Konia)

Dzień ostatni tej wyprawy,  
jutro powrót, koniec sprawy.  
Tyle wrażeń już za nami,  
trawić będziem to latami.

Jeszcze tylko dzionek cały,  
a w nim ten rodzynek mały,  
piękne łuki naturalne  
i zastygłe miasta skalne.

Nie zabraknie też widoków  
z kilku szczytów, w świat kanionów,  
z wyżyn górskich w głąb, do rzeki  
z każdych ujęć – mówią wieki!

Wyjazd rano – aż do zmroku  
zaczynamy od widoków  
z płaskich szczytów Overlook-ów,  
na Dead Horse Point.

Ściana prawie prostopadła  
na płaszczyznę księżycową,  
a różnica kolosalna,  
setki metrów tam do dołów.

Na nich poorane ściegi,  
to kaniony schodzą w rzeki.  
Całkiem w dole Kolorado  
płyynie w wąskich serpentynach.

Tam kolory inne wody,  
inne brzegu, otoczenia.  
Od zielonych traw przybrzeżnych,  
w żółte piaski na zakolach.

Szare płaszczyn księżycowych  
i czerwone brzegów skalnych.

Tu roślinność, różnorodna,  
wyjątkowe są okazy,  
tam herbata jest mormonów  
i chronione inne także.

Na wyżynie i pustyni  
karłowate drzewa, krzaki,  
a roślinność skąpa, inna  
dużo szczelin, piaski, maki.

*Millburn, maj 1998*



Autor z żoną Danielą w Parku Narodowym Canionland



Dolina rzeki Kolorado widziana z Punktu Martwego Konia

## Arches Park

Gdy wjeżdżamy w park otwarty,  
to przed nami wrota skalne  
z brył ogromnych ociosane,  
płaskie ściany, jak na warcie!  
(Mówią na nie First Avenue).

Dalej jadąc, głowa dziwna  
„Faraona” przypomina.  
Stoi w górze z hardą miną,

wzrok do góry gdzieś zadarty,  
ale władca to uparty,  
ledwie się tej skały trzyma!

Obok stoją trzy postacie,  
tak ku sobie nachylone,  
to zapewne są „Plotkary”,  
tak zakłète w dożywocie.

Dalej wydmy skamieniałe  
i miasteczko z plasteliny,  
wszystko jak w Disneya filmie:  
bazy, grzybki, klomby zwykłe,  
Ogrody to Edenu dziwne.

Tutaj znów, na szpicu wsparty  
balansuje bloczek skalny,  
tu mamuty skamieniałe  
idą w dal, do wiecznej warty.

W dali widać „Okna Skalne”  
i „Podwójne Okulary”.



Północne i Południowe Okna, Park Narodowy Łuków



Faraon w wąwozie Piąta Ulica, Park Narodowy Łuków



Zaraz obok, naprzeciwko,  
„Kły Mamuta” wbite w skały,  
tak zakłęte w ciężkiej walce,  
że już wydrzeć nie są w stanie.

A na koniec, istna gratka,  
na płaszczyźnie horyzontu  
stoi w dali „Łuk” na skale,  
„Delikatny” – tak też zwany!

Dojść do niego nie tak łatwo,  
trzeba schodzić do kanionu,  
potem wspinać się do góry,  
tam już widok z każdej strony.

Jeszcze kilka takich łuków  
stoi tu uformowanych,  
każdy inny, w różnych miejscach,  
wszystkie setki lat przetrwały.

Słońce zaszło już za góry,  
czas już na nas, kemping czeka,  
rano powrót na lotnisko,  
było pięknie, koniec blisko,  
na samolot – praca czeka!

*Millburn, maj 1998*



Perspektywa wokół Łuku Delikatnego, Park Narodowy Łuków



Ostojańce w Parku Narodowym Łuków



Balansująca Skała, Park Narodowy Łuków

## Spis treści

Nowy Świat – odwiedziny • 3
Marysia • 6
W długi weekend – Dzień Pani Wiesi • 7
Florham Park • 10
Pochwała dzikiego zachodu • 11
Reserwat Indian Nawaho (Monument Valley i Mexican Hat) • 15

### Dziki Zachód

W drogę! • 19
Utah (Salt Lake City) • 23
Idaho • 28
Pocatello • 30
Wyoming, Wspaniały Teton • 31
Yellowstone • 35
Kanion Bryce • 42
Park Zion • 45
Dolina Śmierci • 49
Znów Nevada (Las Vegas nocą) • 51
Wielki Kanion, Kolorado • 58
Dolina Pomników • 63
Przystań Hall's Crossing • 65
Tęczowy Most • 69
Naturalne Mosty (Sipapu, Kachina, Owachoma Bridge) • 74
Dolina Bogów • 77
Mesa Verde • 80
Kamping w Moab
(Canyonland, Island in the Sky, Punkt Martwego Konia) • 82
Arches Park • 86